Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a,** byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

12 (Ciąg dalszy).

Jerzy d'Armoy rozgorączkowany, podniecony, podchwycił temat i wystąpił z gorącymi argumentami. Noileau spokojnie, ale z wyrzutem przywrócił go do upamiętania.

Rozmowa, zręcznie przez sędziego prowadzona, po chwili przeszła znowu na inny przedmiot, gdy nagle Alicya, wspaniała blondynka o czarnych oczach, z wyrazem energii na bladej jak wosk twarzy, zawołała żywo:

— Proszę mi wybaczyć, jeżeli mieszam się do tej sprawy, ale sądzę, że przysługuje mi pewne prawo. Ileż ja wycierpiałam przez tego pana Germonpré! Dzięki temu nędznikowi ojciec mój o mało nie stracił honoru!...

Urwała; oczy jej szeroko otwarte, prawie nieprzytomne, goniły jakieś straszne widzenie.

— Przez niego to — kończyła przytłumionym głosem — mój biedny ojciec o mało nie skończył na gilotynie... przez niego o mało nie umarłam! O, jakże ja go nienawidzę!

Wypowiedziała te słowa z takiem szczerem przejęciem, pogardą i wzruszeniem, że wszyscy obecni zadrżeli.

— On teraz sam dźwiga swoją hańbę, swój los i o ileż jest szczęśliwszy! Nie ma dzieci, które rozpaczają i któremi każdy pogardza! On w swoją hańbę nie pociąga nikogo za sobą! Tak! czy to nie jest prawdą? Ten dziki zwierz cierpi samotny! Nie ma komu litować się nad nim! Potwór został ukarany za swoją podłość. Cierpi przez prawo odwetu, to słuszne, to sprawiedliwe! Ale gdyby się okazało, że on jest niewinny tej ostatniej zbrodni? Jeżeli cierpiał za innego? i miał wycierpieć do końca niezasłużoną karę, to byłoby straszne. Ja nie nad nim się lituję, gdy myślę o tem, ale nad panem, panie sędzio, nad panem!

Dnia tego sędzia Noileau powrócił wcześniej do domu i położył się zaraz. Miał silną migrenę. A więc nikt nie wierzył w winę oskarżonego, nikt, nawet córka człowieka, któremu on zadał tyle męczarni, która go nienawidziła z głębi duszy! A więc dobrze! Niech ci wszyscy szaleńcy, głoszący niewinność Germonprè'a, obejmą rolę sędziego śledczego, a sam z chęcią się usunie! Niech sądzą. Wyrobić w sobie pewność, nie jest rzeczą tak trudną; ale trzeba ją poprzeć dowodami.

Dowodami? Co? Więc jeszcze i zawsze to słowo wracać będzie?

Do dyabła! To jasne przecie. Gdybym ja miał te dowody, nie czekałbym na sąd i uwagi tych ludzi. Czyż mógł uwolnić człowieka, na którym ciążyło tak straszne oskarżenie? Przypuśćmy, że powód, cel zbrodni nie istniał, ale były fakta, okropne, realne, brutalne fakta!

Gdyby on tak postąpił, jak sam w głębi duszy pragnął, dopieroby krzyk powstał! Dlaczego ta młoda dziewczyna powiedziała, że w przeciwnym wypadku litowanoby się nad nim?

Pomyłka sądowa?! Niewinny ma być zasądzony na ciężkie roboty, lub ginąć na rusztowaniu? Z jego winy może? Oh, nie! nigdy, nigdy! On do tego nie dopuści!

Dlatego to przecież prowadzi tak drobiazgowo, tak pracowicie to śledztwo, nie pomijając najdrobniejszej okoliczności, najmniej znaczącego faktu!...

ROZDZIAŁ XII.

„Podwójna Nitka“ oddaje dzielne usługi.

„Podwójna Nitka“ zajmował się czasami dostarczaniem wiadomości i niektórych objaśnień organom policyi, z wyjątkiem tych dni, w których za drobne kradzieże znikał z horyzontu. I trzeba mu przyznać, że oddawał te cenne usługi z zamiłowaniem i niezwykłą sumiennością.

Znając wybornie „zacne stowarzyszenie złodziejskie“, którego on był honorowym członkiem, stawał się bardzo użytecznym.

Usługi te, oprócz kilku sztuk srebra, któremi go obdarzano, wyrabiały mu pomiędzy urzędnikami policyi pewną pobłażliwość i wyrozumiałość na jego własne sprawki, ma się rozumieć, o ile nie przekraczał pewnych granic.

Pewnego dnia obarczono go trudną i delikatną misyą. Ku ogólnemu zdziwieniu „Podwójna Nitka“, zwykle bardzo skrupulatny, słowny, nie stawił się z odpowiedzią w dniu oznaczonym. Zaniepokojono się i kazano za nim czynić poszukiwania.

Dowiedziano się przypadkowo, że „Podwójna Nitka“ w jakiejś bójce został silnie poturbowany, tak że był zmuszony uciekać z placu boju. Była to rzecz przykra dla niego, ale jeszcze przykrzejsza dla p. Cardec, który właśnie niecierpliwie oczekiwał obiecanych objaśnień.

Wieczorem tego samego dnia „Podwójna Nitka“ nadszedł w chwili, gdy szef już miał biuro opuszczać. Jednym tchem, z widocznym wysiłkiem, sapiąc i dysząc, zdał swój raport. Wyglądał okropnie.

Nos zgnieciony, urągając wszelkim regułom symetryi, skręcił się melancholijnie ku lewej stronie twarzy, szczękę opadniętą, w której brak było kilku zębów, podtrzymywała jedynie czarna opaska; jedno oko ginęło formalnie pod okropnem czarnem napuchnięciem, drugie zaś, krwią nabiegłe, czyniło wrażenie, że lada chwila wyskoczy z głowy. Przy tem jeszcze lewa ręka zwisała bezwładnie na temblaku, a na całej twarzy i głowie widniały sińce i podrapania.

Zapytany odpowiedział, że przyjechał dorożką, bo obawiał się, aby go na ulicy za zbója lub złodzieja nie wzięto, a poczciwy dorożkarz, usłyszawszy adres, dokąd się zawieść kazał, zaciął czemprędzej konia i przynaglił do prędszego biegu. Do szefa kazał się prowadzić policyantowi, bo nic przed sobą nie widział i nie mógł wydrapać się na schody. Wkońcu opowiadanie skończyło się na tem, że cała ta wyprawa kosztowała go kilka franków, które, ma nadzieję, zostaną mu zwrócone.

— Co do powodu bójki, to lepiej niech się pan szef nie pyta, bo on nic nie może powiedzieć.

Zdziwił się bardzo p. Cardec, co znaczyło to zamilczenie o fakcie, który w jego zawodzie wydarzał się dość często? Coś innego więc kryło się pod tem. Pan Cardec zaczął nalegać, żądając wytłómaczenia, potem zgniewał się, a w końcu zagroził.

„Podwójna Nitka“ siedział na krześle, które mu podsunął sam szef, zdjęty litością na widok tej kupy zbitego i skrwawionego ciała i drżał okropnie. Widocznie był pod silnem wrażeniem strachu.

— Mój Boże — jęknął — widzę, że panu szefowi zależy, ażebym się przeniósł do wieczności w kwiecie wieku.

— Co ty wygadujesz? Dlaczego masz umierać? Wytłómacz się.

— Ja nie blaguję. Mogę przysiądz, że mówię prawdę! On mi to obiecał, a jak on obieca, to już zrobione.

— Co za on? Jaki on?

— Nie powiem! Mnie reszta kości jeszcze jest miła!

— No stary, gadasz, czy nie?

„Podwójna Nitka“ milczał. Cardec zrozumiał, że surowością nic nie uzyska. Trzeba było użyć innej taktyki.

— Wiesz, że mnie to dziwi. Taki zuch, jak ty i dałeś się wziąć?

— Et, co tu gadać! Z takim niema żartów. To szło na dobre!

— Niemasz się czego bać. Wiesz, że cię każę pilnować.

— Aha! żeby jego w ręce dostać. Niema co sobie głowy psuć. Jego nie złapią, a ja skórą odpowiem! Ah, gdybym tak był pewny, że będę miał pieniądze w razie kawału...

— Bądź spokojny, będziesz je miał.

— Tak? a jak przedtem kopyta wyciągnę!... A to łajdak! Teraz mu nic zrobić nie można. Zwykła bójka. Ale gdybym tak był pewny...

— Jeszcze wracasz do tego samego?

— Że nie zaryzykuję skóry.

— Niema o czem mówić!

— Oj, wartaby gra była świeczki.

— Tembardziej więc. Będziesz raz na zawsze od niego uwolniony.

— Dobrze! A jak go przycapią a on nogę urządzi, jak zwykle?

— Czy ty skończysz nareszcie? Gadaj zaraz Jak się on nazywa?

— Panie komisarzu! Nie chciałbym pana cyganić. Ja za nic nie ręczę. Wiem tylko, że w Mares, gdzie go poznałem, nazywali go Gantrin; był jeszcze bardzo młodym chłopcem. Gdy go odnalazłem dwa lata temu, to już będzie sześć lat od poznania, właśnie dopiero co urządził był drapaka na świeże powietrze i wybierał się za granicę. Wtedy był jeszcze porządnym chłopcem. Lubiał trochę oglądać cudze kieszenie, tak przez ciekawość, ale nie rozbijał jeszcze imbryków... I wtedy jeszcze nazywał się Gantrin. Teraz to już zmienił nazwisko.

— A czemże się teraz zajmuje?

— Różnymi interesami i fałszerstwami, oszustwami, a przytem, zdaje się, że się nie krępuje, jak mu ktoś na drodze zawadza. Ale przytem bydlę jest, bo nie powinien korzystać z tego, że silny i towarzyszy naznaczać. No, ale ja mu też nie żałowałem, miał jedno znamię, będzie miał teraz, dzięki mnie, dwa. Teraz to się już łajdak nie zagubi!

Szef bezpieczeństwa słuchał w milczeniu, cierpliwie i uważnie, nie przerywając. Był to najlepszy sposób wyciągnięcia czegoś z niego. Jednakże na ostatnie słowa „Podwójnej Nitki“ aż podskoczył na krześle ze zdziwienia. Już od chwili zaciekawiony był bardzo opowiadaniem włóczęgi.

— Ah, to on miał znamię? — zapytał.

— Pod okiem; ktoś go porządnie trącił, ale to stary kawałek jeszcze. Przy mojem, to tamto wygląda, jak podrapanie igłą. No i do tego fajnie mu gębę szpeci.

— A więc ty?...

— Cóż miałem robić? Czekać, aż duszę ze mnie wypuści? Ja się broniłem... Wyciągnąłem nożyk i w chwili, gdy się on nachylił, żeby mnie potrącić, ja mu ładnie nożykiem rozjechałem nos i ślepie! Było co widzieć. Ale ja tam długo nie czekałem, tylko wziąłem nogi za pas i dałem drapaka. On nic nie widział!... Oh! żeby nie to, byłby mnie ten hycel bez paszportu przeprawił już na tamten świat!... Kanalia podła!... Ale mu dogodziłem!...

Nie było wątpliwości! Musiał to być nieuchwytny Gruby Ludwik. Jeszcze nie był w rękach, ale po śladach dojdzie się do niego. A wtedy już rzecz policyi, aby wyśpiewał, co wie. Więc znowu czysty przypadek dopomógł.

— Mów dalej — odezwał się po chwili Cardec — bo nie wiem właściwie, jakim się to sposobem stało.

— Ano tak było; poszedłem według rozkazu pana szefa podpatrzeć tego ptaszka, co to pan wie, w jego gniazdku...

— Dobrze, dobrze, tylko krócej!

— To buda przy ul. Bolivar... Gdy wtem na rogu ul. Secretan wdepnąłem na jakiegoś pasażera, dobrze ubranego. Było coś koło dziewiątej wieczorem, a ja byłem lekko zawiany. Zwracam uwagę obywatela, że przecież nie jest wieżą Eifel i mógłby z drogi porządnemu człowiekowi ustąpić. On na to nic. Już miałem mu pięść pod nos podsunąć, gdy wtem patrzę... przecież to stara znajomość. Zawołałem więc: „Hej! Gantrin, jak się masz, stary?“ Skoczył z początku, jakby go tysiąc pcheł ugryzło i odpowiada mi spokojnie:

— Mylisz się mój zuchu, bierzesz mnie za kogo innego.

Ale nie mnie tumanić! Jego to głos był i jego facyata. Ja się rzadko mylę! Poznaję swoich parafian. Nie pomogło wygolenie gęby, aż się świeciła, ani gęste, czarne brwi, ani włosy długie, zaczesane aż po oczy. To był Gantrin, na honor mej prababki. Wtedy w Mares to był blondynem niby, trochę ciemniejszy...

— To więc szatyn?

— Tak, szatyn. I nosił długie wąsiska, jak ogon krowi. Potem, gdym go widział, wychodzącego z Poissy... nie z Melun, był zawsze jeszcze taki sam. I nagle, bez przyczyny, stałby się czarny, jak murzyn? Nie mnie brać na kawał, do stu dyabłów! Wtedy ja z góry:

— Aha, to ty się wypierasz towarzystwa? Miły z ciebie ananas, bratku! Dlatego, że u mnie bryndza? że objąłem na razie posadę dyrektora świeżego powietrza?... O! to mi się nie podoba!... Myślisz durniu, że ja od ciebie co potrzebuję? Zafunduj kieliszek, zobaczysz, czy przyjmę. Widzicie go, pan!

Zamknął buzię i wywalonemi ślepiami wpatrzył się w swoje lakierowane buty i idzie sobie najspokojniej ul. Bolivar, nic sobie ze mnie nie robiąc. A nawet roześmiał się na całe gardło. Ale, jak powiedziałem panu, byłem trochę trącony. Podchodzę do niego i mówię, jak przystało na porządnego chłopa, że go widziałem zimową porą koło kościoła Notre-Dame, ale go nie zaczepiłem wtedy, bo miałem „robotę“. Tak, przypominam sobie dobrze. To było w dniu tego morderstwa na ul. Clichy. Szliśmy właśnie z „Brzoskwinią“ na rozkaz pański do Morgue... „Brzoskwinia“ biegł przodem. Był ptaszek ubrany jak jaki książę, w wspaniałem futrze. Tylko sobie nie przypominam, czy był wygolony. Poznałem go po oku, któremu coś braku-